# „Głos Narodu“ ilustrowany.



Rynek we Wrześni (południowa strona).

## Pamiętajmy o Wrześni!

Poruszenie społeczeństwa wywołane sprawą wrzesińską nie ustaje. Świadczą o tem płynące ze wszech stron składki na ofiary systemu pruskiego. Od dwudziestu lat ucisk trwa, i dzień każdy przynosił nowe gwałty i bezprawia. Czara nieprawości była pełna po wręby. Sprawa wrzesińska: to ostatnia kropla, którą ją przepełniła. System pruski stwierdzony już tyloma wyrokami sądowymi, okazał się tutaj w takiej jaskrawości, że dusza najobojętniejsza, serce najchłodniejsze, musiało zapłonąć i zadrżeć z oburzenia. Na tym jednym przykładzie człowiek najbardziej skłonny do życia w zgodzie z sąsiadem niemieckim, musiał poznać, że ta zgoda jest ułudą, jest mrzonką, że prusactwo nie cofa się przed niczem w dążeniu do wytępienia ludności, której zagrabiło ziemię. Wrześni było nam potrzeba — nam, którzy zawsze lubimy



Grupa dzieci wszesińskich, katowanych przez »nauczycieli« pruskich 20 maja 1901 r.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 28 grudnia 1901 roku.



Matka Piaseckiej.



**Bronisława Smidowiczówna,**

która przez fartuszek wzięła wciskany jej gwałtem przez nauczyciela do ręki katechizm niemiecki.



**Młoda mężatka Bednarowiczowa,**

która za to, że uśmiechała się ironicznie wobec żandarma rozpędzającego grupę wzburzonych obywateli wszesińskich, skazaną została na jeden rok więzienia!



Chora Piasecka, skazana przez sąd pruski na dwa i pół roku więzienia, z dziećmi swemi i starą matką.

się łudzić, którzy uległością i tolerancyą względem drugich tak często grzeszymy. Trzeba było takiego jaskrawego faktu, któryby nam oczy otworzył i ukazał rzeczywistość.

I potrzeba było Wrześni, abyśmy raz znowu przed światem udokumentowali naszą jedność i niepodzielność.

I potrzeba było Wrześni, abyśmy skupili nasze szeregi na



**Jagodziński,**
skazany na dwa miesiące więzienia.



**Balcerkiewicz,**
skazany na rok i trzy miesiące więzienia.



**Smidowicz.**

polu ekonomicznej walki. Niejednokrotnie hasło: »swój do swego« u nas rozbrzmiewało, ale zapał wywołany tem hasłem okazywał się ogniem słomianym. Tym razem ogień to żywiołowy: i Prusacy rychło przyznają, że ogień ten sparzy ich porządnie. Bojkotowanie towarów pruskich odbywa się u nas na całej linii i zobaczymy, czy produkcya niemiecka zniesie obojętnie stratę takiej klienteli.

Pamiętajmy o Wrześni! To będzie nasze hasło w stosunkach z wszelakiem prusactwem, czy ono się przejawia w Wielkiem Ks. Poznańskiem, na Szlązku, czy w Wiedniu, czy w Galicyi!



**Starodawny drewn. kościołek ś. Krzyża we Wrześni.**



**Pałac hr. Ponińskiego we Wrześni.**

# Pod pręgierz łotra!



**Kat polskich dzieci, »nauczyciel« Koralewski**
we Wrześni.

Prezentujemy tu naszym czytelnikom, jednego z licznej sfory oprawców, pełniących w kulturalnych Prusach funkcyę nauczycieli w Wielkiem Księstwie Poznańskiem: p Koralewskiego, który za swą pożyteczną pracę nagrodzony został przez rząd kwotą 100 marek.

Koralewski! Imię to odezwie się zawsze jak zgrzyt, ilekroć ktoś wspomni o »kulturze pruskiej« w początkach XX wieku..

Rzut oka na fotografię wystarczy, aby sobie wyrobić zdanie o tym nędznym renegacie, »czującym po niemiecku«. Chłopisko ogromne, silne, twarz pełna, pospolita, z obwisłemi wąsami, twarz brutalnego podoficera pruskiego, dla którego *der stramme Drill* koszar jest alfą i omegą życia. W oczach renegata błyska zwykła u tego pokroju ludzi, zajadłość: zajadłość kundla podwórzowego, gdy mu kość ogryzioną chcą odebrać. Nauczyciel Koralewski dla takiej kości, rzuconej mu przez kulturalny rząd pruski, stał się psem zajadłym, rzucającym się na dzieci polskie

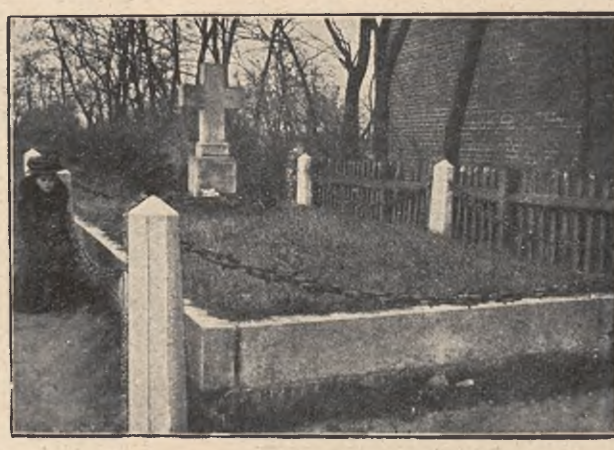
Zdawien dawna wiadomo, że nie ma gorszego szubrawca, jak Polak renegat...

W klasycznych swoich zeznaniach przed trybunałem gnieźnieńskim nauczyciel Koralewski oświadczył, iż jest pochodzenia polskiego. Oby p. Koralewski do tego się nigdy już więcej nie przyznawał! Chcielibyśmy wierzyć dla chwały imienia polskiego, że się p. Koralewski myli — oddajemy go w zupełności i niepodzielnie Prusakom.

P. Koralewski oświadczył dalej, iż »czuje po niemiecku«. Postępowanie jego całe świadczy, że mówi prawdę. Tak jest: p. Koralewski czuje i działa po niemiecku i może z całą słusznością intonować w szkole: *Ich bin ein Preusse!*



Mieszkanie ks. Laskowskiego.



Grobowiec poległych pod Sokołowem w r. 1848. na cmentarzu we Wrześni.

KAZIMIERZ TETMAJER.

# DUSZA LUDZKA.

Do pracowni wpadało blade księżycowe światło. Artysta leżał na szezlągu z zamkniętemi oczyma.

Wszystko to, co malowali i rzeźbili ludzie, wszystko to, co malował i rzeźbił on sam, wydawało mu się niewystarczające.

Chciał wymalować lub wyrzeźbić duszę, duszę ludzką.

Albowiem przyszła ona ku niemu w pewną noc miesięczną, kiedy wicher z gór zwiewał tumany obłoków, a na polach i ugorach rozesłane leżało światło, krystaliczne i tak spokojne jak sen. W ową to noc, z pośród tego zwału obłoków, wichrem przez turnie strącanych i owych pól, pod światłem takiem jasnem i spokojnem, wyszła dusza, dusza ludzka i przystąpiwszy ku niemu, rzekła: uczyń mój obraz. Poczem znikła, a on został w jakiemś oczarowaniu i olśnieniu tajemniczem, w jakiemś osłupieniu pełnem cudu, zachwytu i rozpaczy, albowiem zjawisko trwało tak krótko, że kształtu jego pochwycić nie zdążył.

W uszach zaś brzmiał mu rozkaz duszy, duszy ludzkiej: uczyń mój obraz.

Usiłował więc sobie przypomnieć kształt zjawiska, lecz nadaremnie; niczego przypomnieć sobie nie mógł. Usiłował kształt ten stworzyć, wymyślić, lecz również napróżno. Wyobraźnia łamała skrzydła; czarna jakaś zasłona zapadała przed nią, ile razy pięła się naprzód, jak gdyby głos jakiś mówił jej:

Nie pójdziesz dalej.

Poczem przed oczy jej zapadał czarny mrok.

Wówczas, kiedy i pamięć zjawiska i wyobraźnia zawiodły artystę, począł szukać. Szukał w górach i lasach, szukał nad morzami w dni słoneczne i noce księżycowe, szukał na stepach i niezmiernych, równie pustych jak stepy, polach śniegowych, szukał wreszcie w poezyi, w muzyce, w sztuce plastycznej i nigdzie znaleźć kształtu duszy nie mógł. Psyche neapolitańska zarówno jak i marmurowe orkany Michała Anioła, anielska muzyka Mozarta, jak i bezdenne głębie Beethovena, poezya Danta, jak i poezya Mickiewicza: nic obrazu, kształtu duszy ludzkiej przed oczy mu rzucić nie mogło.

Podług tych pieśni, tych rzeźb i tych słów, można było zobaczyć może duszę gwiazd, można było zobaczyć może anioły lecące w jasnych obłokach i drugie, z pochylonemi na pierś głowami, zadumane u skraju przepaści — ale kształtu szukanego nie dały.

Rzucił się więc artysta w studya filozofii, próbował wydrzeć kształt duszy religiom świata, szukał ziarna, któreby mu zapłodniło mózg żądanym obrazem, ale zawsze napróżno.

Począł więc szukać go w życiu. Stanęła przed nim kobieta, kobieta, o której mówią, że jeżeli powstała idea aniołów w niebie, to dlatego, że ona jest na ziemi. Począł kochać, kochać kobietę, jak bóstwo i jak do bóstwa się modlić, myśląc, że może modlitwą swoją wywoła z niej duszę jej i ujrzy i podług niej uczyni, co mu uczynić kazano. Ale nawet miłość najwyższa, nawet ubóstwienie kobiety nie otwarło mu oczu, nie rozdarło czarnej zasłony przed niemi.

Więc przestał kochać.

I otoczyła go pusta, pustka pełna rozpaczy i bólu. Nic tworzyć nie mógł, wszystko bowiem, cokolwiekby stworzył, wydawało mu się świętokradztwem i bluźnierstwem wobec jego idei, wobec tej woli, która mu rozkaz dała.

Począł się jednak zastanawiać, co on miał uczynić?

Co miał uczynić? Wyrazić w plastycznym kształcie duszę ludzką? Jestże to podobnem? Jestże to możliwe? Nie jestże to szaleństwem? Szałem i obłędem twórczego mózgu, godnym śmiechu każdego rozumnego, normalnego człowieka? Czyli czas ten, te siły, to wszystko, nie jest napróżno zmarnowaną częścią żywota? Czy ten czar, który na niego spadł, nie jest przekleństwem jakiemś, klątwą, którą go urzekło złe przeznaczenie? Czy to wszystko nie jest czczym żartem, czczym, ale bolesnym, jak śmierć, i czy zjawisko to i wola jego nie jest dziełem tej strasznej Ironii, która rządzi i włada szatan, któremu Bóg pozwolił siać zło? Jakże to można ujrzeć widomie duszę ludzką? zamknąć ją w kształt? dać jej formę?

Czyni się ją podobną do człowieka, jak do człowieka czyni się podobnym anioła, nawet Boga. Czy widział ich kto kiedy? Jest to więc marna bezsilność twórczej potęgi ludzkiej, która każdy cud, każdą ideę z nieba ściągać musi na ziemię,

aby módz pojąć, aby módz wierzyć, aby módz kochać? Wizye i zjawy, które miewali prorocy, brały postać ludzką, albowiem tworzyły się w ich wnętrzu. w ich własnych sercach i umysłach.

Ale ku niemu głos przyszedł z zewnątrz, z poza niego, z za świata.

Z za świata zkądś zjawiła mu się w ową noc miesięczną, z pośród zwału obłoków wichrem przez turnie pędzonych i pól, pod światłem krystalicznem i spokojnem, jak sen, zjawiła się i rzekła i rozkazała: uczyń mój obraz.

I stało się to tragedyą życia artysty. Poczęto go mieć za obłąkanego i on sam począł wątpić, żali nie jest obłędem dotknięty? I ów straszny anioł śmierci, który krąży nad światem, końcami swoich skrzydeł dotykając czół i piersi ludzi straconych, zdawało mu się, iż przeleciał po nad nim.

I z tą myślą w głowie, znużony i złamany moralnie, zabity na duchu, leżał w swojej pracowni z zamkniętemi oczyma, starając się nic nie czuć, nic nie wiedzieć i nic nie pamiętać. Ale choć wszystkie uczucia odganiał, straszliwa, miażdżąca tęsknota osiadła mu serce. Było mu tak, jakby mu uchylono drzwi Raju, ale nim krok w nie uczynił, zamknięto. Tęsknił i pragnął śmierci.

Gdyby miał nawet umrzeć, gdyby miał nawet umrzeć, jak ów Faun, który wydzierając się z uścisków Nimfom i Dryadom leśnym, zakochany w wizyi świetlanej czystej i świętej Psyche, przebiegał cały świat, szukając jej i śledząc, pełen niewysłowionej, śmiertelnej tęsknoty, a przypuszczając, iż

Pani błękitnych, cichych dni,
Pani błękitnych nieba drgnień,
Pani tych barw, któremi lśni
Morze, w zachodu idąc cień —

lęka się jego koźlich nóg i rogów na włochatej głowie: modlił się o śmierć u pioruny siejącego Zeusa. I oto stał się cud! Przez miłość, przez tęsknotę, z bożka leśnego, którego Nimfy i Dryady dla jego wiecznej gonitwy za świetlaną Psyche, zwały szalonym Faunem: bóg się wypromienił, bóg jasny i święty, godny Eteru. Lecz w tejże chwili, w chwili zachwytu i wniebowstąpienia, padła nań śmierć.

Taką legendę znał artysta i gdyby mu nawet tak umrzeć przyszło, radby był umrzeć, zazdroszcząc Faunowi z legendy, że miał jedną chwilę objawienia! że jedną chwilę: *widział*.

Bo zaiste, lepiej jest raz wejrzeć w niebo, niż stulecia tylko ziemię oglądać.

Stracił nadzieję.

Wtem, w nocnym mroku, niewidzialna, ale blizka, stanęła Ona...

Serce, które ją uczuło, zadrżało, stokroć więcej zadrżało, niż drży, kiedy kochana, upragniona kobieta szepnie niewidzialna w mroku nocnym: przyszłam, jestem...

Ona, Dusza, dusza ludzka...

I zadźwięczał jej głos: gdzież to mnie szukasz?

— Szukałem cię wszędzie, na ziemi i w niebie.

— Więc pójdź.

Naówczas otwarł się przed oczyma artysty przedziwny świat. Nie była to ani ta ziemia, którą oczy ludzkie widzą, ani to niebo, które myśl ludzka marzy. Był to bezmiar, niezmierna, nieskończona przestrzeń. Wieki i światy, miliardy wieków i miliardy światów krążyły tu nieskończone w nieskończoności. Wszystkie wyżyny i wszystkie głębie tu były. Tu było wszystko, wszechwieczność czasu i wszechwieczność bytu.

Tu był Chaos, miejsce stawania się i nicestwienia, powszechne królestwo. Wszystkie żywioły, wszystkie potęgi i wszystkie moce elementarne tu miały swoje źródło i tu swój kres. Gwiazdy się tu rodziły i z osi swoich zerwane ginęły planety. Tu także kwiatowy pył rozpładniał się po świecie i słychać było dźwięk rosy, kiedy spływa po źdźble trawy na ziemię. Tu każda sekunda miała swój zegar, który ją znaczył, jak każdy wiek, i każdy wiek wieków bił w przestrzeni. Wszystko zaś było współrzędne, nierozdzielne: dźwięk rosy ziemskiej zlany był z ruchem gwiazd, stulecia zespolone były z płodnym pyłem kwiatowym. Tu było wszystko: wszechwieczność czasu i wszechwieczność bytu.

— Cóż to jest?! — spytał zdumiony artysta.

— Nie poznajesz-że? — odparł Głos — To jest dusza ludzka.

— A tyżeś kto jest?

— I jam jest nią.

— Ty, coś przyszła ku mnie, dźwięczysz, jak liść nad potokiem i pachniesz, jak kwiat?

— Jam jest.

Zdumienie coraz większe ogarniało artystę.

— Jakżeś mogła — rzekł — oddzielić się, oddzielić się od tych przepaści i otchłani wieków i światów? Jakżeś mogła rozwiązać się ze spojeń z temi wszechmocami bytu, wyjść z tego Ruchu, który Cię całą wypełnia, który Ty wskroś przenikasz?

— Jam-że jest wszystkiem; jam jest Wszystko — rzekła Dusza.

— Jakżeż więc ja, człowiek, mogę Ci nadać jakiś kształt, zamknąć Cię w jakąś formę, oznaczyć Ci linie i granice, Tobie, która jesteś miejscem stawania się i nicestwienia w wieczności i nieskończoności, a która razem stajesz przy mnie i mówisz głosem, który ma dźwięk liścia nad strumieniem, a wonny jest, jak kwiat? Jakże mogę uczynić Twój obraz, gdy jeden tylko Bóg uczynićby go potrafił? Stoisz przy mnie, a mimo jasnego światła księżyca nie widzę Cię; mówisz do mnie, ale usta Twe jakoby były dokoła mnie w powietrzu; nie wiem, zkąd idzie głos? Gdybym wyciągnął rękę, wiem, że Ci się nie dotknę; gdybym chciał iść ku Tobie, wiem, że Cię nie napotkam. Jesteś czemś eterycznem, czemś wolnem, czemś nadludzkiem i nadziemnem, niedostępnem i wyższem nad wszystko. Wydaje mi się, że jesteś jedna tylko, jedna wiekuista i jedna niezmierna, bez początku w praepoce, bez kresu w przyszłości. Wydaje mi się, że tylko cień Twój ludzie w sobie noszą — odblask Twój, jak odblaskiem słońca, znikomym i przelotnym, świecą fale płynące. Wydaje mi się, że olbrzymia, jak niebo, otaczasz świat. Wydaje mi się, że trwasz, jak ono, które nigdy nie ginie z oczu, czy dzień płonie, czy mroczy się noc. Słowa Twoje, symbol twój: *zawsze* i *nigdy*. Czyż nie jesteś uczyniona na obraz i podobieństwo Boga?

— Jam jest — odrzekła Dusza.

— Dlaczegóż więc przyszłaś i rzekłaś: uczyń mój obraz?

— Abyś mnie pojął.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

# Z Pamiętnika panny Hali – jej „Pa“ i „Ma“

Dokończenie.

No bo wychodzimy rano — słońce świeci i tak ciepło, jak u nas w czerwcu, tylko jeszcze nie widziałam kwitnących pomarańczy; a tu przy placu, zaraz, że można ręką dotknąć... morze! takie turkusowe, takie śliczne jak na tych landszaftach, co wiszą u nas w stołowym...

Ludzie siedzą na placu... nad morzem... wszędzie... pełno statków, gondoli... a tu i ten most westchnień... te kanały... świeże kwiaty sprzedają... gołębie latają... anglicy chodzą... wiatr taki ciepły... jacyś fotografują... że tak mi się jakoś zrobiło tkliwo... nie wiedziałam nawet że płaczę — aż mi „Ma“ otarła oczy!

Mój Boże, czemu takiej Wenecyi niema w Warszawie? możnaby sobie codziennie chodzić na ten plac cudowny!

To niby miasto a morze... morze a ulice — ulice a kanały?

To tak wszystko wygląda jakby jaki poeta wymyślił.

A „Pa“ się Wenecya nie podoba!!!

Widział kto, coś podobnego? — to coś strasznego!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Byliśmy u św. Marka! Prześliczny! Same marmury i to prawdziwe, jak mówi „Pa“ tylko posadzka taka popsuta, pełno dołów, jak u nas na trotuarach, mogliby dać nową i porządną!

Nie braliśmy przewodnika, tylko podług Bedekera, po kolei oglądaliśmy wszystko — aż nóg nie czuję i tak mnie kark boli od patrzenia w górę!...

Wszystko prześliczne, tylko te mozajki, chociaż je tak bardzo chwali Bedeker, mnie się nie podobają... takie jakieś niezgrabne i dziwaczne.

A potem byliśmy w pałacu Dożów!

Nadzwyczajny! a w tej wielkiej sali to mogłoby śmiało tańczyć mazura ze trzysta par.

Obrazów jest pełno na ścianach i na sufitach, ale szkoda, że niezostawili mebli — dopiero to musiał być komfort i szyk!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

*Niedziela.* — Widziałam go u św. Marka, byłyśmy z „Ma“ na sumie. Stał z jakiemiś żydówkami, ukłonił mi się... chciałam mu się nie odkłonić... ale żal mi go było!

A potem spotkaliśmy państwa Matacz, z Warszawy!

„Pa“ się ogromnie ucieszył, bo to jego adwokat!

Za całe dwa liry kupiłam gołębiom grochu; tak fruwały nademną, siadały mi na ramionach, na głowie, na rękach — szkoda, że pan Henryk tak mnie nie widział.

Byliśmy razem z państwem Matacz w Akademii... Obrazy to mi się nie bardzo podobały, takie wszystkie poczerniałe, stare i religijne — jakby w kościele — ale tam w pierwszej sali jest cudowny sufit — oglądam dłużej, a tu jakichś dwóch panów, mówi za mną po polsku:

— Patrz, jaka śliczna Wenecyanka.

— Nie, to prędzej angielka...

— Ale mówię ci Wenecyanka, czysty typ, doskonała w kolorze.

Rozczerwieniłam się, ale mi się ogromnie śmiać chciało.

Wychodzimy potem, a ci panowie witają się z państwem Matacz i ten ich nam przedstawia...

Jakie mieli miny! Obaj malarze, ale nie z Warszawy.

Jeden mocny brunet, a ten drugi, to jego przyjaciel!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

*Wieczorem.* — Jutro po południu jedziemy już prosto do Rzymu!

Cały wieczór siedzieliśmy na placu, potem jeździliśmy gondolą, słuchali muzyki i znowu siedzieliśmy.

Tyle ludzi było na placu, jak u nas w niedzielę na Nowym Świecie.

Ale tutaj wszystko zupełnie inaczej, nawet i ubierają się trochę inaczej.

Muzyka grała na placu i wszyscy spacerowali, pełno było marynarzy z białemi kołnierzami i wenecyanek, ale chodzą bez kapeluszy, z szalami na ramionach — no tak zupełnie wyglądało, jak w operze.

A co cudzoziemców, chyba wszystkiemi językami świata mówili!

Ale takich lodów jakie dają u Florianiego, tom jeszcze nie jadła, nieopowiedziane! tylko ciastka mają stanowczo za małe.

Poszliśmy potem do sali, bo tak się zrobiło zimno i deszcz padał.

Ten brunet, malarz, mieszka stale we Włoszech, co on nam naopowiadał, toby można z tego całą książkę napisać i bardzo zajmującą: dwadzieścia razy się pojedynkował i był pietnaście razy ciężko rannym, a dziesięć razy już był umierającym!... Dawał na to słowo honoru!

A tak głośno opowiada, tak krzyczy i klnie wszystkiemi językami, że z początku, to cała sala na nas patrzyła, a potem, tośmy już sami zostali.

Polował na lwy w Abisynii, ale nieszczęśliwie, bo go lew pokaleczył... tylko żałował, że nie może w towarzystwie pokazać śladów kłów i pazurów na sobie... To coś okropnego, że on się nie bał!

Założył się z jakimś lordem o 100 tysięcy funtów i przeszedł pieszo przez Saharę... sam jeden... zasypywały go piaski... tydzień cały nie jadł... nie pił... ale zakład wygrał!... Dawał na to słowo honoru!... Napisał operę pod t. „symfonia oślicy“. Także tytuł! Wynalazł ster do balonów ale musi się znim kryć jeszcze...

zna się doskonale z królem Angielskim, Vanderbildowi mówi ty, razem polowali na żyrafy, a papierośnicę taką do cygar, to ma z samych złotych medalów, które podostawał za swoje obrazy na wystawach...

Pokazywał wszystkim... i „Pa" mówił, że medale są naprawde złote...

Potem rozbił się z okrętem na oceanie, żył pięć lat na odludnnej wyspie i... zjadł swego towarzysza!... Dawał słowo honoru i aż płakał, jak to opowiadał, z żalu pewnie!

To dopiero jeść mu się chciało!

Jezus, umarłabym prędzej!

Pierwszy raz widzę takiego, co jadł człowieka...

„Pa" w domu powiedział, że to wesoły chłop, ale blagier na gruby kamień!...

Nie, nie, pocóżby miał blagować?...

Ale pan Henryk, to pewnie się jeszcze ani razu nie pojedynkował? o, on tak wszystkim ustępuje z drogi, taki grzeczny dla wszystkich...

A ten pan Matacz, też opowiadał później, że go napadło dwóch drabów, ale uciekł szczęśliwie; a potem jakiś klient chciał go obić, ale on mu kij odebrał, kazał aresztować, sprawę podał do sądu, a że byli świadkowie — wsadził go na miesiąc do kozy!

Także bohater, co?... A chwali się, jakby dwóch drabów i ten klient, to były co najmniej lwy, rozbicie okrętu, albo zjedzenie człowieka... a ta jego żona, to tylko ciągle wykrzykiwała:

— Mężyku, więc to jest ta bella Wenecya? to kamienne marzenie rzeczywistości, ta bajka Szeherezady!...

— Mężyku, patrz na te gondole, na te kanały, na te pałace! Boże, co tu koloryzmu, co tu koloryzmu!...

I tak ciągle się zachwycała, i tak głośno, i ciągle przystawała i na wszystko patrzyła przez lornetkę i zaraz notowała — widziałam dobrze, ale ten mąż jej, to często szczypał ją w rękę... wtedy trochę przestawała.

Śmieszna taka egzaltacya!...

Więc to już jutro prosto do Romy!...

Do Romy!

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

*Uwagi »Pa«.* — Gdyby nawet ktoś takie miasto wymyśiił — tobym mu szczerze powiedział: głupstwoś acan wymyślił!

Stawiać miasto na wodzie! nie, to waryactwo czyste. Jakież u dyabła, muszą być fundamenta pod domami? i poco takie koszta?

Psiakość nóżki baranie i tu woda, i tam woda, wszędzie woda; człowiek boi się rozpędzić, żeby nie wpaść do wody!...

Domy jak kaczki siedzą na wodzie i basta!

Zachwycają się Wenecyą... hm, ludzie dużo mają czasu! piszą o pałacach tych, kanałach, placach... ale żebym ja u nas w Warszawie miał taki pałac brudny, odrapany z wodą na około - toby mi na pe dom zapieczętowali, i poszedłbym z torbami.

A śmierdzi wszędzie, że niech ręka Boska broni!

A ten św. Marek?... kościół nie kościół... a Bedeker chwali, — pi, wielka sztuka! to panie skład kradzionych marmurów i nic więcej! przecież Bedeker pisze wyraźnie zkąd je przywozili.

Zasypać kanały, odnowić domy, zrobić skwer na placu św. Marka — toby to jeszcze miasteczko było możliwe.

Ale wino tanie i dobre.

Tylko te Włochy mają miny, że zawsze zapinam się na wszystkie guziki jak wychodzę z hotelu...

Ten malarz łże, to łże, ale porządny chłop... żeby tylko w końcu nie chciał mi sprzedać jakiego obrazu?

Trzeba iść spać, jutro jeszcze obejrzę Wenecyę, to może co pożytecznego znajdę i zapiszę.

Ale pieniążki w tym wojażu, to płyną jak woda, psiakość nóżki baranie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

*12 kwietnia.*

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Młodszy Stokrotek nie żyje!

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

„Pa" też o mało się nie utopił.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Pewnie zaraz wrócimy do Warszawy!

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Boże mój, Boże, przecież to całe życie ludzkie — to coś okropnego!!!

Że ludzie umierają, chorują, są nieszczęśliwi, no to są zwyczajne rzeczy, ale że Stokrotek mógł się utopić, a my do Rzymu nie pojedziemy! — to naprawdę, ale już nie rozumiem.

Och, „Ma" zawsze ma racyę jak mówi, że świat jest podły i bez ideałów.

A samo życie? — to tylko świństwo i spółka — jak powiedział jakiś mędrzec... może, może tego niewypadało napisać? może to nieprzyzwoite? — Ale cóż mnie to wszystko obchodzi?... kiedy mi się już płakać chce i jestem taka smutna!

I w tej Wenecyi... żeby się to stało chociaż w Rzymie, to jużby mi nie było tak żal wracać,..

I już jechaliśmy... ogłosiło się wszędzie... pożegnaliśmy się ze wszystkiemi... pisywałam z drogi... a teraz wracać?... Obiecałam poprzywozić suweniry...

Niewidzieć Rzymu, papieża, Wezuwiusza, kwitnących pomarańczy — i wracać?...

Co za wstyd, co za upokorzenie!

Nawet ani razu nie jechałam jeszcze na ośle.

Boże! jak mi jest smutno! nawet mi już czekoladki nie smakują!...

Co za nieszczęście!

Czemu tu niema pana Henryka?.. On taki dobry, taki kochany, taki poczciwy, zarazby „Pa" wytłumaczył, że my powinniśmy jechać do Rzymu, że właśnie teraz, po takich nieszczęściach to tylko do Rzymu!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

*Krótki dopisek »Ma«.*

Ach! lejcie się gorzkie łzy moje!
Żebraj duszo moja zmiłowania!
Krzycz serce schrypniętym głosem żałości!
Stokrotek młodszy nie żyje!
Och, a imie jego było lubość!
Och ten pies, nie psią miał duszę, zaiste nie psią...

Boże mój i za co mnie, wierną służebnicę spotyka cios taki?!

Jeszcze w dłoniach czuję gładkość jego, jeszcze na twarzy czuję jego delikatne, słodkie lizanie — jeszcze ten harmonijny głosik słyszę!

A jego już niema i nigdy nie będzie... nigdy nie będzie...

I to wszystko przez tego obrzydliwca, opoja, niedołęgę — przez tego męża mojego!

Zaprawdę, kobieta-Chrześcianka, dużo przecierpieć musi...

Męczeństwo jest najkosztowniejszym klejnotem żywota żony!

Ach, Stokrotku mój, Stokrotku niezapomniany!

Ale właśnie nie powrócę do Warszawy, za nic w świecie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

I to całe dwa tysiące rubli ukradli „Pa“!

»Ma“ w tej chwili tak gada „Pa“, tak gada, że Jezus!

Bo „Ma“ wiedziała tylko, że „Pa“ ma tysiąc rubli ze sobą...

Rzeczywiście, dla czego nie powiedział, na co mu było tyle pieniędzy?...

A teraz nas wszystkich za to Pan Bóg skarał...

Bo pewnie chciał sobie urządzać hulanki... i to na pewno w Rzymie... tam gdzie papież... gdzie tyle świętości... to coś okropnego!...

Kasę to już ja będę miała przy sobie, a panu Henrykowi będę codziennie dawała na papierosy i na tramwaje.

Nie chcę, żeby mnie przez niego spotykały nieszczęścia...

Tak, ale Stokrotek i tak nie zmartwychwstanie, nie!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

To wszystko tak było:

»Pa“ wyszedł ze Stokrotkami, żeby się trochę przeszły przed jazdą... łzy zalewają mi oczy jak sobie przypomnę tego nieboszczyka...

Mój Boże, tak aportował, tak chodził na dwóch łapkach, tak umiał nosić za mną parasolkę i... nie żyje.

Och, „Ma“ ma racyę — że nie wiadomo dnia ani godziny!

„Pa“ poprowadził je nad morze... stały przy nim i patrzyli wszyscy na wodę... a na gondoli przy brzegu stał pies jakiś i szczekał, Stokrotki też szczekały! i zaczęły się rzucać.., aż „Pa“ odszedł dalej... żeby się nie rozdrażniały, bo później zawsze chorują... Szedł jakiś Włoch, no taki oberwus, jak oni wszyscy!

Gwizdał na Stokrotki i z pewnością je podrażnił, bo one zawsze takie łagodne... i ten młodszy rzucił się i ugryzł go podobno... przecież taki mały piesek, nie mógł mu krzywdy zrobić, najwyżej może rozerwał mu te jego. . łachmany! a ten złapał go za skórę i rzucił do morza!!!

Czemu tam mnie nie było! Zabiłabym go parasolką!

I rzucił tak prosto... na śmierć... do morza!

„Pa“ krzyczał, żeby ratowali — a ci gondolierzy jeszcze przeszkadzali...

Już dopływał do brzegu .. ale brzeg wysoki, gładki, równy... aż się „Pa“ położył na kamieniach, żeby go złapać... no za bardzo się przechylił... wpadł... strasznie się rozbił i zabłocił...

„Pa“ wyciągnęli, ale Stokrotek utonął —

Utonął i nie żyje!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Przyprowadzili „Pa“ do hotelu, tak wyglądał strasznie... że „Ma“ zaraz zemdlała!

Był potem doktór... „Pa“ chciał mu płacić — niema pugilaresu! surdut i kamizelka na piersiach były rozcięte — i pugilares ze wszystkiemi pieniędzmi ukradli!

Stokrotek młodszy i pugilares!

Czy może być straszniejsze nieszczęście?!

A „Pa“ jeszcze potem mówi: kiedy tak, wracamy do Warszawy!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Już telegrafował do Warszawy po pieniądze i stanowczo mówi, że ma już dosyć wojażu i dosyć Włoch.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ja chyba umrę, albo bardzo ciężko się rozchoruję, jeśli zaraz wrócimy do Warszawy.

Przecież moglibyśmy posiedzieć choćby w Zakopanem parę tygodni... niktby nie wiedział zkąd wracamy!

Nawet już nie wiem co robię?

To coś okropnego... nie będę śmiała wyjść na ulicę w Warszawie...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Boże coś nowego, jakaś nadzieja... Boże...

„Ma“ woła „Pa“, że nie powróci, że mnie zabierze, Stokrotka zabierze i sami pojedziemy do Rzymu, choćby tylko w troje, a „Pa“ niech sobie powraca na złamanie karku, kiedy taki niedołęga, taki tyran, taki kat Stokrotka!...

„Ma“ płacze, „Pa“ płacze, i ten biedny sierota też skomli, to pewnie z żałości po tamtym...

Mój Boże, żebyśmy pojechali do Rzymu — to już pierwszemu jakiego spotkam dziadowi dam rubla, albo z pół, a jak wrócę do Warszawy — to zaraz dam te jesienną suknię córce stróża, chociaż naprawdę ona jeszcze zupełnie dobra i trochę mi jej szkoda.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Cicho Stokrotku... cicho sieroto... cicho mój zakręcony ogonku... niech tylko pojedziemy do Rzymu, to już ja ci będę towarzyszką, i matką, i siostrą, i wszystkiem... cicho moja sieroto... cicho...

A „Ma“ wciąż kłóci się z „Pa“.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Boże, takam zmęczona i nieszczęśliwa!

Ach, żeby to już odpocząć!

Pan Hyacynt mówi, że szczęście jest tam — „na łąkach prabytu, gdzie chodzą nagie wszechbyty i płyną strugi przepotężnej gliceryny pod fuksyami absolutu“. .

Ale pocóż mi gliceryna?

Głupi żydziak ten pan Hyacynt, że to ja się odrazu nie poznałam na tych głupstwach fałszywych dekadentów — bo przecież on nie mówi Przybyszewskiemu „Stachu“.

Boże, żebym teraz chociaż miała pudełko czekoladek!..

KONIEC.

*Zakopane-Wisła.* *Wł. St. Rejmont.*

# Wycieczka na Łomnicę.

Grono członków »Sokoła« krakowskiego, urządziło w sierpniu b. r. ze współudziałem Tow. Tatrzańskiego wycieczkę na Łomnicę, ten szczyt wspaniały, wyrosły z morza granitów (2634 m.) świecący w blasku słońca »nad Tatrami jak pochodnia, a nad Polską jak gromnica«.

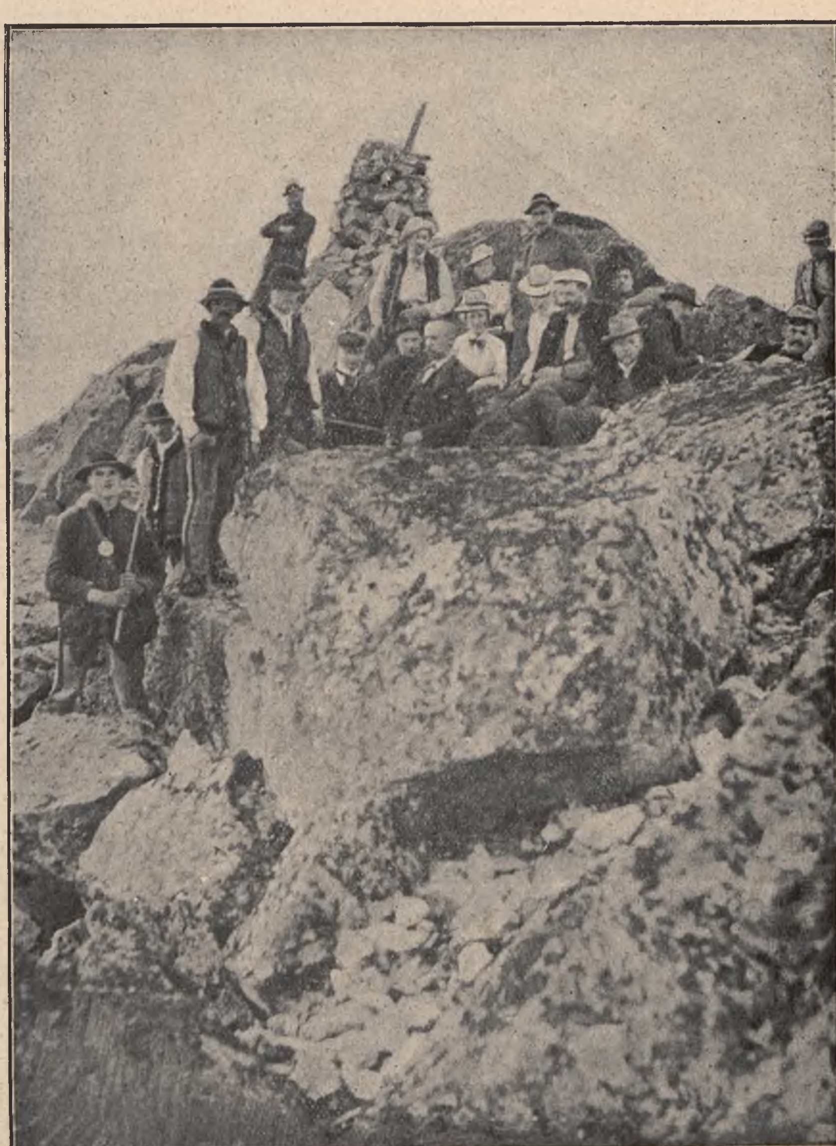
Dzielne grono turystów, w którem znajdowały się także panie, wyruszyło pod przewodem Dra Kirkora z Zakopanego przez Roztokę, »Polski Grzebień« (słynna przełęcz), Szmeks na nocleg do Różanki.

Aliści tam miejsca brakło!

Jeden z uczestników w ten sposób opisuje dalsze dzieje wyprawy:

Dalej więc tułacze z nosami na kwintę jeszcze kilka kilometerków do schroniska Reinera, gdzie również powiedziano im: nie ma miejsca! — chyba oto tu! I tym wspaniałym gestem obejmuje okrutna gospodyni izbę gołą, której stół i kilka ław z tarcic całą ozdobą. Zaledwie dwa pokoje zdobyte służą na pomieszczenie pań i starszej gwardyi. Młodzi mężowie układają się pokotem na podłodze w fantastycznych pozach, których wspomnienie tak długo potem prześladuje zdrętwiałe łokcie i łopatki.

Naturalnie, że po takiej nocy duch silny, ale ciało mdłe. Ale, albośmy to jacy tacy! Wszakże to dzień kulminacyjny wycieczki: Łomnica! A więc ostatni łyk kawy, ostatnia kartka z widokiem i czułem pożegnaniem — idziemy! Specyalista od krakowiaków intonuje na całe gardło: Hu, ha, ha, hu, ha, ha! a przed nami wynurza się kolos kamienny, którego szczytu od spodu nie ujrzysz. Pnie się gromada mrówek po spadzistym upłazie, aż dochodzimy wreszcie do t. zw. »Próby«. Dotychczas nie mówiłem jeszcze nic o gimnastyce, bo szło się »ciągiem«, ale tak sobie zwyczajnie: raz w górę, to znów w dół, co prawda więcej w górę jak w dół — tu jednak szczelina w skale prawie prostopadła, to co jeden z mych chybkich przyjaciół nazywa »lubym kominkiem«. Gdzieniegdzie dla ozdoby kominka a przyjemności wędrowca: łańcuch. No! pokażcie co umiecie dzielni taternicy, śmiałe »Sokoły« i wy piękne panie. Istotnie zaczynają pracować i ręce i nogi, ciupagi stukają o granit, oddech staje się szybszy — a jeden z towarzyszy kwili na myśl, czem może być szczyt, skoro próba jest tak miłą. Uczciwszy jednak to miejsce, nazwą »płaczki« pokonujemy »Próbę« i wchodzimy znowu na olbrzymie zbocze, którem wije się droga jakby w nieskończoność aż do wyniosłego grzbietu płaskiego zwanego »Polem Łomnickiem«.



**Na szczycie Łomnicy, dnia 19 sierpnia.**

Dr Kirkor, pna M. Pleszewska, Dr Balicki, Kulig, Hubalski, Agath, pna M. K., pni M. Staniszewska, Witkownicki, adw. Gałecki, Porębski, Noworyta, Mroczkowski, Czerny, Waiszerich. Przewodnik Bartek Obrochta i 3 górali.

(Zdejmował uczestnik wyprawy Niemczynowski.)

Tu jednak przekonujemy się dopiero, że jeśli pierwszy kominek był nie dość lubym, to tu za to czeka nas prawdziwy komin niebotyczny i ciężka próba. Oto najeżona grań stacza się ku nam z wysokości kilkuset metrów stromym żlebem, a ten żleb to nasza ścieżka. Istotnie zaczynają się piękne, choć wcale nie biblijne historye od »źródełka Mojżesza«, przy którem poraz pierwszy i ostatni popijamy wodę przegryzając ją czekoladą. Tu już i laski — jak powiada przewodnik Eliasza — stają się zawadą — a trzeba pracować na seryo wędrując na czworakach. Notatka ta sprawdza się dosłownie. Zostawiwszy pod t. zw. »Piórem« nasze ciupagi i tornistry drapiemy się w górę, jak kto może i umie po spadzistości, która przechodzi nieraz prawie w prostopadłą ścianę. Wbite tu i owdzie łańcuchy dopomagają do tej gimnastyki,



W drodze do Szmeksu: Na przełęczy »Polskiego Grzebienia«.

a nikt, skoro ujrzy taką skałę, której ani okrążyć, ani inaczej przebyć nie można, jak tylko zwiesiwszy się na łańcuchu przyczepionym do niej jednym końcem — nie waha się nawet ani jednej chwili, ale uśmiecha się wdzięcznie i pomyślawszy: raz kozie śmierć, hop, siup! przeprawia się balansując z jednego głazu na drugi. Nadworny nasz fotograf p. N., któremu za to specyalna należy się wdzięczność, chwyta nas w takich momentach... swym aparatem, a nadzieja unieśmiertelnienia w takiej bohaterskiej pozie muchy, przylepionej do skały, staje się ogromną pociechą i sprawia taką szaloną werwę i pewność, że nowicyusze wycieczki omal nie wołają: dajcie nam tu jeszcze parę takich łańcuchów i ze dwie przepaści po prawicy i lewicy! Odruchem rycerskiej galanteryi chciałoby się czasem tu i owdzie pomódz paniom — o ile zbywa która ręka, ale gdzież tam, nasze panie, a zwłaszcza dwie z nich zawstydzają niemal gimnastyków i jak kozice suną w górę z wytrwałością godną szczerego uznania, tak, że jakiś Węgier, którego przewodnik niemiecki spuszcza ostrożnie na linie, stoi w niemem osłupieniu, widząc jak nasza liczna gromada pnie się w górę śmiało i niezmordowanie. W ten sposób przebywszy wreszcie rozmaite załomy, jakkolwiek się one nazywają: »Płaczkami« czy »Piórami« — po kilku głazach stajemy niespodzianie na szczycie.

A! cóż za błogie uczucie zadowolenia i odpoczynku. Jesteśmy więc wreszcie na szczycie. Niby to na ziemi jeszcze, a tak od niej dalecy i oderwani, raczej zawieszeni między niebem a ziemią »jak orły w gradowym obłoku«. Łomnica nie wynagrodziła nam w zupełności trudu pięciogodzinnego marszu, gdyż chmura pod nami osłania inne szczyty i tylko czasem, gdy wiatr rozerwie jej pierścień, widać przez takie okno w chmurze dalekie, oblane słońcem widnokręgi doliny węgierskiej, po której rozsiane miasteczka wydają się mniejszemi, niż zabawki dziecięce.

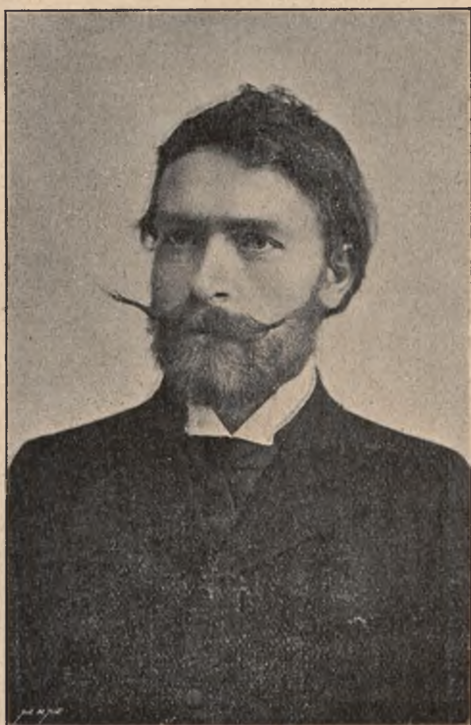
Tak nam jednak dobrze: górnie i chmurnie, choć właściwie słońce świeci na szczycie. Mały zabłąkany światek ludzki uczepiony granitowej iglicy jakby na skalistej wyspie, oblanej morzem szarej nieskończoności, odpoczywa, patrzy i myśli. Leżąc przeżywamy nasze wrażenia i widzimy jak biała mgła kłębi się, faluje i przegania i jak czasem wynurzy się z niej potworny róg Kesmarskiego i innych szczytów. Zresztą cóż za wspaniały wynik turystyczny: wszyscy wyszli cali i zdrowi, przeszło dwadzieścia osób różnej płci, wieku, siły, godności i urzędów — to nie żart, taki »omnibus« na Łomnicy! I powrót odbył się pomyślnie a wycieczka, ze wszech miar udana, pozostawiła niezatarte wspomnienia w duszy każdego uczestnika.

A i ty miły czytelniku, skoro będziesz w Zakopanem nie poprzestawaj na Czarnym stawie, gdzie, skorupki z jaj, zatłuszczone papiery i tym podobne objawy cywilizacyi przypominają już »Panieńskie skały«, nie poprzestawaj na »Morskiem Oku« cudownem, lecz zmieniającem się już natłokiem filistrów w »Bielany« w czasie odpustu — ale idź głębiej w góry tam, gdzie przed ciekawością gawiedzi chroni się duch Tatr, jak zraniony orzeł wśród granitowych turni. A chociaż ten i ów »taternik«, zwiedzający góry z kawiarnianej werandy u Płonki, mruknie coś pod nosem i nazwie



Wypoczynek po przejściu pierwszego »Kominka« u podnóża Łomnicy, na tle Kolbachu i małego Lodowego.

te wycieczki »szaleństwem«, nic sobie nie rób z tego miły czytelniku. To reumatyk, albo osobnik z gatunków żółwiów ziemnych. Ty pnij się na szczyty, gdzie śmiały krok, choć nieraz nad przepaścią prowadzi w krainę piękna i swobody!



Stanisław Wyspiański.

# „WESELE“

Kto nie zna genialnego tego utworu, jeśli nie z teatru, to z czytania? Kto nie był na owych godach ślubnych poety krakowskiego z dziewuchą wiejską, które w oczach naszych przemieniają się w olbrzymi symbol, w gody duszy, duszy poetyckiej z ideą nieśmiertelną? Kto nie kąpał się w kryształowym zdroju tej poezyi, z której wychodzimy czyści, w nastroju podniosłym, ze stygmatem Polski na sercu?

Dzieło Wyspiańskiego jest bez wątpienia najważniejszem, jakie literatura polska 1901 roku po sobie pozostawia. Imię autora, które już wprzódy jaśniało na naszym widnokręgu literackim, jako gwiazda pierwszorzędna, z niem urosło w jedno ze słońc naszej poezyi narodowej — w jedno z tych słońc, które nieraz palą, jak ogień, ale zawsze dają światło, ciepło i życie. A jest ono czemś więcej, niż literaturą, czemś wyższem, niż teatrem, czemś trwalszem, niż książką. »Pacierz, co płacze i piorun, co błyska« — to określenie, które od tak dawna nie przypadało żadnemn nowemu tworowi ducha naszego, ono jedynie tłómaczy znaczenie »Wesela« i stanowi o pomnikowej jego wartości...

Estetyk będzie w niem miał niewyczerpaną skarbnicę dla studyów swoich. Jest ono jedną z »przedziwności naszego języka«, pełną niesłychanego bogactwa motywów. Od tonu najsubtelniejszego flirtu poety z panną salonową do sprzeplatanego żargonem języka arendarza, od rubasznego, jędrnego, ale strasznie »nagiego« języka parobczaków wiejskich do sypiącego kwiaty mistyczne, wspinającego się na wyżyny najeteryczniejszego uduchowienia języka Słowackich — wszystkie niejako klawisze cudnego tego instrumentu, jakim jest mowa polska, dają nam koncert niezmiernego piękna. A na koncercie tym gra duch — gra dusza Polski całej. I oto mamy ją przed sobą, plastyczną, zmartwychwstałą, powołaną do życia natchnieniem wielkiego poety. Wstaje przed nami Polska dawna i dzisiejsza — wszystko, co z wielkości, bolu i nadziei narodu.

Więc Zawisza — to moc nasza i chwała dawna, nieskalana żadną plamą, więc Stańczyk — dusza obywatela, drżąca na widok gnieżdżącego się pod piękną łupiną próchna, więc Branicki potworność pychy i szału narodowego, a tuż obok: Wernyhora, szlachcic-chłop, wieszcz-żołnierz, synteza, jutro... Ci byli, przeszli, snem są nam tylko, widmem, pojawiającem się w godzinie duchów, a jak cień krwawy snuje się w tym korowodzie okropnym — Szela... Im zaś przeciwstawiona Polska dzisiejsza — my, pokolenie całe... my artyści życia, my dusze piękne, my poeci, umiejący pięknie mówić, gładko, śnić o Polsce, bratać się z ludem, całować



Żyd karczmarz z „Wesela“ Wyspiańskiego.

(Teatr lwowski, p. Feldman).

Pan młody (do żyda): No, jesteśmy przyjaciele...
Żyd: Tylko, że my jesteśmy tacy przyjaciele, co się nie lubią.
(»Wesele«, akt I).



„Wesele“ Wyspiańskiego: Isia i Chochoł.

(Teatr lwowski, pna Jankowska i p. Bednarczyk).

Chochoł: Kto mnie wołał, czego chciał?
Zebrałem się, w com ta miał:
Jestem, jestem na Wesele,
Przyjedzie tu gości wiele,
Żeby ino wicher wiał...
Isia: Huś ha, huś ha na pole,
Głupi śmieciu, chochole.

jego jędrne dziewczęta, nieraz nawet z jedną się żenić, ale czy umiemy też żyć dla Polski? Czy każdy w swoim zakresie, czy dziennikarz, poeta, malarz, rolnik, radca — w swojej sferze myśli i działa dla Polski? A gdy przyjdzie wielka godzina, czyż rezultat wszystkich ich usiłowań, zestrój wszystkich tych sił, chór wszystkich tych głosów — czy buchnie czynem i zaoodzie »Wawelski dwór«?

W rozpacz wpada poeta zadawszy sobie to pytanie, w odrętwienie pewne, wyrażające się straszną tą wizyą, jaką sztuka się kończy. Chochoł bierze nad nami przewództwo, wiecheć słomy — bo słomianym jest ogień naszego zapału, okrywka szczepów na zimę — bo powierzchowną jest miłość nasza i praca nasza...

Gorżkie to słowo, krwawą — ironia, ale ogień poety nie spala nam skrzydeł. Poezya działa nie tendencyą i nie myślą pozytywną, jaką podaje, lecz nastrojem ducha, w jaki nas wprawia. A »Wesele« wznosi nas na najwyższe szczeble natchnienia i czujemy, że świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętemi. Czujemy ów zapał i wiarę ową i lot podniebny, którym przeniknięty poeta. Żyiemy z nim górnie i chmurnie i duszę wraz z nim kładziemy na ołtarzu tej, o której ciągle szepce poeta...

Bo »Polska — to wielka rzecz«...

# Bajki na Gwiazdkę

(dla dorosłych dzieci).

## Czcionka i kula.

Ołów miał dwie córki: jedna nazywała się czcionka, druga: kula. Były to panienki emancypowane. Gdy podrosły, rzecze do nich ojciec:

— Kochane dziateczki, idźcie w świat i starajcie się wyjść na ludzi. Która z was większych czynów dokaże, która większą sławą okryta wróci do domu, ta będzie moją ulubioną córką.

Dzieci poszły w świat. Po upływie stulecia wróciły do ojca. Siwy staruszek zapytał kuli ołowianej:

Dziecko kochane i coś ty zdziałała na świecie?

— Stałam się potęgą powszechnie obawianą — odpowiedziała, pysząc się, kulka. Kto mi staje na drodze i nie chce się poddać, tego bez pardonu niszczę. Całe narody już zniszczyłam. Gdyby nie ja, coby warte były Prusy?

Stary, uderzony morderczem wejrzeniem swej córki, pokiwał głową i wyrzekł z westchnieniem:

— Dobrze, dobrze, moje dziecko...

Potem zwrócił się do czcionki:

— A ty co powiesz?

Oblicze litery zajaśniało radością.

— Ojcze drogi — odrzekła. Ja tak krwawymi czynami chwalić się nie mogę. Zato, podobnie, jak słońce, darzyłam świat światłem. Nie mordowałam narodów całych — powoływam zato do życia niejeden lud martwy

Ze wzruszeniem wysłuchał ojciec jej mowy. Nie śmiał jednak wyrazić swej radości — obawiał się gniewu kulki. Ze spokojem wyrzekł tedy:



„Wesele“ Wyspiańskiego: Marysia i Widmo.

(Teatr lwowski, pp. Bednarzewska i Stanisławski).

Widmo: Potańcujmy raz do koła,
Potem zaś znów mus mnie iść.



**Upiór Szeli,**
przywódcy rabacyi chłopskiej w 1846 r.).
(Teatr krak., p. Puchalski).

Upiór (do dziada): Dajcie bracie kubeł wody,
Gębę myć, ręce myć!
To krew...

— Dobrze, dzieci moje. Nie chcę ja teraz rozstrzygnąć, która z was większych na świecie dokazała cudów. Idźcie jeszcze w świat, wrócicie za kilka wieków znowu. Wtenczas rozstrzygnę.

Poszły.

Kilka stuleci minęło — nareszcie zjawiła się sama tylko czcionka.

Ojciec uścisnął ją serdecznie i cały promieniał.

— A gdzie siostra twoja? — pyta.

Czcionka schyliła głowę i milczała.

— Gdzież siostra twoja?

Czcionka milczała.

— Pytam się, co się dzieje z kulą? — powtórzył surowo. — Coś z nią uczyniła?

— Dokonałam czynu wielkiego — odparła czcionka. — Zabiłam siostrę moją.

Ojciec westchnął, lecz po chwili twarz jego zajaśniała radością i dumą. Błogosławiąc, złożył dłoń na główce dziecka swego.

— Tyś moją jedyną dobrą, mądrą córką...

## Zapałka.

Posprzeczało się dwóch uczonych.

— To była moja idea.

— Zasługa moja jest większa... Ja ideę urzeczywistniłem i przeprowadziłem.,.

— Mnie się należy sława...

— Nie, mnie się należy...

I dalej się kłócili.

Na stole tymczasem leżały obok siebie świeca i zapałka.

Świeca spojrzała z politowaniem na towarzyszkę.

— Biedaczko! Ogień twój jest tak krótkotrwały... Ja przynajmniej palę się przez czas długi...

Na to rzecze zapałka:

— I owszem, zapal się.

Świeca zaczęła się natężać — nadaremnie. A zapałka spoglądała na nią ze złośliwym uśmiechem.

— I jakżeż?

— Nie idzie!

— No, widzisz, płonąć jest łatwiej, niż zapalić się...

— Prawda — powiedziała świeca skromnie. — Teraz zapal mnie...

Zapałka zapłonęła i objęła płomieniem także świecę. Po kilku jednak chwilach zapałka zgasła, a świeca jaśniała wesołym płomieniem.

— A widzisz — wołała do towarzyszki. — Zapalić.. śliczna rzecz, ale świecić — to jeszcze piękniejsza.

— Prawda — powtórzyła zapałka melancholijnie. — Zapalić się... śliczna rzecz, ale świecić — to piękniejsza.

Uczeni tej rozmowy nie słyszeli. Kłócili się dalej — i kłócą się po dziśdzień. *Hugo Palotai.*



**Hetman Branicki z czartami w mundurach oficerów rosyjskich.**
(Teatr krak. pp. Senowski, Segeny i Jejde).

Dyabły: Hej, panie, panie Branecki,
Nie żałuj grosika, nie żałuj,
Pocałuj się z nami pocałuj,
Nie żałuj dukacika, nie żałuj!
Dajże go nam z tej kieski.
Hetman: Bierzcie złoto, pali złoto!
Dyabły: Pali pieniążek moskiewski?
Hetman: Złoto pali, złoto war,
Sursum corda, wiwat car!
Dyabły: Złoty pan, weselny pan!
Pójdźże w tan, dalej w tan!
Na weselu hula śmierć,
Garniec pereł, złota ćwierć,
Zaprzedałeś Czortu kraj!



„Wesele“ Wyspiańskiego: końcowa scena oczekiwania.

Gospodarz: Wernyhora
Ma przyjechać z Archaniołem
Od gościńca, od Krakowa,
Na zamku czeka królowa
Z Częstochowy...

(»Wesele«, akt III).

## Noc Świętojańska.

*Idzie Sobotównej.*

Niech wszystko będzie ciche i bezgłośne
Jak leśnych jezior zaklęta bajeczność,
Niech wszystko będzie jasne jak łzy rośne
Kiedy w nich miesiąc rozkocha się srebrny,
Niech wszystko będzie nieznane jak wieczność,
Święte jak duszy jakiś wzlot podniebny —
Niech wszystko będzie ciche i bezgłośne.

Zaczną się noce ciche, świętojańskie
Kiedy się księżyc na liściach rozświetli,
Z karczmy, gdzie gody lud obchodzi pańskie,
Leci głos jasny skrzypiec i basetli,
Potrząsa w drodze falę żyta ciemną
I echem wpada w boru toń tajemną.

Co to? zkąd dźwięk ten co tak skonał z cicha?
Czy śpiąca ziemia przez sen tak oddycha,
Czy noc tak cudnie przemówiła gwiezdna,
Że jakiś urok w jej głębiach się ziści?
Kwiaty otwarły niespokojne oczy,
A blask miesięczny przedarłszy gąszcz liści
Zapalił nagle leśne uroczyska,
Wywroty pienne i jeziora bez dna,
Gdzie wieczna ciemność po falach się toczy.
Patrz w dziuplę wierzby: coś jak oczy błyska,
Patrz? pajęczyny świecą jak obrączki,
A pień spruchniały jak leśny kaganiec;
Błędne ogniki wzięły się za rączki
I w mrokach dziwny rozpoczęły taniec...
A na mchach leśnych cudownie się złoci
Zaklęty czarem złoty kwiat paproci.

O pani moja jasna! o królewno!
Ukoję ciebie moją zwrotką śpiewną,
Życie ci czarem bajecznym rozzłocę
W te jasne, złote świętojańskie noce.
W ciszy uroczysk, w łzach miesięcznych lśniących,
Wśród drzew srebrzystych, tęczowych pajęczyn,
Wśród błędnych ogni i ech konających —
Prześnimy chwile cudowne zaręczyn.

Niech wszystko będzie ciche i bezgłośne
Jak leśnych jezior zaklęta bajeczność,
Niech wszystko będzie jasne jak łzy rośne,
Kiedy w nich miesiąc rozkocha się srebrny,
Niech wszystko będzie nieznane jak wieczność
Święte jak duszy jakiś wzlot podniebny,
Niech wszystko będzie ciche i bezgłośne.

*Henryk Zbierzchowski.*

# Z Warszawy.

I.

Zastój — demonstracye — teatra — ze Skierniewic — Bristol — Filharmonia.

Upadłość, krachy, defraudacye, oszustwa, które spowodowały w Niemczech zastój i depresyę w przemyśle i handlu, oddziałały jak na całą Europę, także i na nasze stosunki bardzo niekorzystnie. Zastój daje się dotkliwie odczuwać, akcye najlepsze pospadały, w cenie, brak ducha przedsiębiorczego znalazł dla siebie wymówkę w ogólnem niezaufaniu.

To ekonomiczne i finansowe zniechęcenie, spowodowane przez wypadki niemieckie, idzie tu w parze z oburzeniem na barbarzyństwa niemieckie dokonywane na polskich dzieciach i rodzicach. Oburzenie to znalazło swój wyraz w dwóch demonstracyach. Jedną było zdarcie, podeptanie i poćwiartowanie orła pruskiego na konsulacie niemieckim. Dokonano tego tak dziwnie zręcznie i szybko, że władza policyjna nikogo na uczynku nie przychwyciła, nikogo nie aresztowała. W pół godziny po fakcie przechodzące grono studentów przytrzymała policya i internowała w pobliskiej restauracyi, gdzie ich restaurator ugościł. Trzymano ich tam do 8. g. wieczorem, poczem, jako zupełnie niewinnych wypuszczono. Uciecha w mieście z tak gładkiego przebiegu sprawy, była powszechną. Dziennikom pozwolono zrazu oceniać i piętnować postępowania Prusaków, następnie zabroniono, potem zezwolono regestrować fakta bez uwag, potem dopuszczono znowu do uwag, nie w osobnych artykułach, bo to razi czułą i dziwaczącą cenzurę, lecz w depeszach i w korespondencyach. Dodać jeszcze muszę, że świadkami zelżenia konsulatu niemieckiego było dużo przechodzących Rosyan także i oficerów, lecz wszyscy coprędzej się cofali z głośnym uśmiechem.

Drugą demonstracyę urządziły dwie grupy studentów polska, wraz z robotnikami, i rosyjska, każda z osobna. Całe miasto wiedziało, że przeciw przedstawieniom towarzystwa niemieckiego: Adeli Sandrok, zorganizowali się studenci, zakupili bilety na parter i galeryę, przygotowali jaja, zgniłe jabłka i świstawki; mówili żartownisie, że zabrakło jaj w mieście. Równocześnie wiedziano, że policya i żandarmerya otrzymały rozkazy ostrego wystąpienia przeciw demonstrantom. Obawiano się przeto i słusznie, że przyjdzie do starcia, do rozlewu krwi, gdyż studenci nie ustąpią, a zwłaszcza rosyjscy rzucą się na policyę, byle nienawiść do Niemców okazać i przedstawienie niemieckie udaremnić. Zapewne ten ostatni wzgląd, że wrzało wogóle między wszystkimi studentami spowodował przecie policyę i zarząd teatrów, że przedstawiono niebezpieczeństwo generał-gubernatorowi. Należy uznać, że zrozumiał on należycie zadanie władcy w tym wypadku, mianowicie, że należy usunąć powód do rozdrażnienia, zapowiedź nieszczęścia. Gen. gubernator w drodze administracyjnej — [redacted] stawienia niemieckiego zakazał. Bądź [redacted] z Wrześnią, Gniezno, Poznań, odezw[redacted]tu takiem echem, że z urzędu Niemco[redacted]ienia ludności wzbroniono. Miasto [redacted]ło i obeszło się bez ofiar i starć, a[redacted] ludności przecież się zaznaczyły.

W teatrach po konferencyach[redacted]działem polskich znawców, gener[redacted]wski w sposób obiektywny przeprowa[redacted]częły się reformy najpierw od oszczędn[redacted]niejszenia personalu. Natomiast podw[redacted] gażę kilku aktorom, a naczelną reżyse[redacted] teatrów, oddano w ręce Ludwika [redacted]iego. Pokaże się, czy ten nowy kierow[redacted]ający się przedewszystkiem na operet[redacted]jdzie warunki i możność do podniesieni[redacted]. Nie byłoby to zbyt trudnem w syre[redacted]dzie, gdyby można liczyć na to, że z g[redacted] będą stawiane przeszkody, że nie będ[redacted]wien czas, coraz inne wiać wiatry.

Po raz pierwszy wystawiona „[redacted]art“ Słowackiego, zapełnia teatr. Nie [redacted]dnak zamilczeć, że przedstawienie jest[redacted]role niewłaściwie obsadzone. Z wielki[redacted]dzeniem utrzymuje się w repertuarze [redacted]no“ Przybyszewskiego, wywołując z[redacted]wą polemikę w prasie. Można stwierd[redacted]panowało po raz pierwszy starcie mię[redacted]łem i oklaskami lóż i krzeseł, a surow[redacted]ałej bez wyjątku prasy. Polemika i ta[redacted]ość zdań przyczynia się jak zwykle do[redacted]nia tego nazbyt gorzkiego dramatu.

Jan Szczepanik wezwany był [redacted]niewic, żeby przedstawił przed dworem s[redacted] pancerz. Odbyły się liczne próby strzelania i kłócia ze zupełnem powodzeniem. Opowiadają szczegóły niezmiernie zajmujące o tej urzędowej ekspertyzie, której świadkiem był także margr. Wielopolski. Dopóki jednak sam Szczepanik stanowczo milczy, muszę się liczyć do czasu z wielorakiemi względami, i opowiadań, lubo najzupełniej wiarogodnych nie chcę powtarzać. Ze strony zawodowej rozpoczęto działalność w celu wprowadeenia w Królestwie i w Rosyi tkackich wynalazków Szczcpanika.

Evenementem jest tu u nas otwarcie hotelu Bristol. Należy przyznać, że pierwszy to hotel u nas, który ma centralne ogrzewania, światło elektryczne, dobrą windę, ogrzane i wojłokiem wyłożone korytarze, numery porządnie zaopatrzone. Te zalety sprawiają, że hotel jest dotąd ciągle pełny. Przestanie jednak nęcić, jeżeli dotkliwe dla gości braki nie zostaną dopełnione, mianowicie: urządzenie lub stosowne przekształcenie hali wstępnej na salę konferencyjną, w którejby można także pić kawę i herbatę; oddzielenie hali od nyży, w której jest portier i klucze, gdzie panuje zawsze tłok, chaos, piekielny hałas, tak, że piękna hala jest bezużyteczną i nieużyteczną.

Filharmonia cieszy się powodzeniem; tanie koncerty napełniają salę; widocznie zarząd jest praktyczny. Ten gmach dla celów idealnych — okaże się i dobrym interesem.

*x. y.*



Nowy kościół Zbawiciela w Warszawie.

## Nowy Kościół Zbawiciela w Warszawie.

Projekt niniejszy, który podajemy w ilustracyi, otrzymał na konkursie, dotyczącym tej budowy, drugą nagrodę. Autorowie projektu, architekci J. Dziekoński, L. Pańczakiewicz i W. Żychiewicz otrzymali jednak od Komitetu polecenie wykonania budowy i wypracowali już ostateczne plany.

Jak to bywa z naszemi konkursami, projekt wybrany nie zupełnie zadowolił znawców i miłośników sztuki, którzyby chcieli w nowej polskiej świątyni Bożej widzieć skrystalizowany oryginalniejszy polot fantazyi i narodowe pierwiastki sztuki. Kościół polski powinien dzisiaj być polskim. — Tak nie dużo mamy sposobności do rozwijania sztuki, że każda taka sposobność nie dziw, że nastręcza tematu do dyskusyi.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.